

T. L. SWAN

AUTORKA BESTSELLEROWYCH „BRACI MILES”!

*Dan*  
GARCIA

MR #3



Tytuł oryginału  
*Mr. Garcia*  
Copyright © 2021 by T.L. Swan  
All rights reserved  
Copyright © for Polish edition  
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne  
Oświęcim 2023  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:  
Joanna Błakita  
Korekta:  
Sara Szulc  
Katarzyna Olchowy  
Edyta Giersz  
Redakcja techniczna:  
Paulina Romanek  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-649-3

**T.L. SWAN**

# **PAN GARCIA**

**MR. #3**

**TŁUMACZENIE  
MALWINA STOPYRA**

**OŚWIĘCIM 2023**

## DEDYKACJA

Niniejszą książkę dedykuję alfabetowi.  
Te dwadzieścia sześć liter zmieniło moje życie.  
To dzięki nim odnalazłam siebie i spełniam swoje marzenie.

Gdy następnym razem będziecie wymieniać litery alfabetu,  
pamiętajcie o ich mocy.

Ja pamiętam każdego dnia.

# WDZIĘCZNOŚĆ

Umiejętność docenienia; gotowość, by okazać uznanie i odwzajemnić życzliwość.

On był boski: starszy i dystyngowany.

Wiedziałam, że oznaczał kłopoty w chwili, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

Poznaliśmy się, gdy pracując w kawiarni, po raz pierwszy musiałam zaparzyć samodzielnie kawę.

Uśmiechnął się, a ja przepadłam... A potem posmakował mojej kawy i wyrzucił ją do kosza.

Zrobił tak samo następnego dnia, i następnego.

Nie cierpiał tej kawy, a jednak ciągle wracał.

Wiedziałam, o co chodziło w jego grze.

Określił moją kawę śmiercią w kubku.

Ja nazwałam go darem bożym dla kobiet.

Nie kłamałam.

Potem wpadliśmy na siebie poza kawiarnią i właśnie wtedy zrobiło się interesująco.

Nie był już tak czarujący i słodki. Ani z nienagannymi manierami.

Pan Garcia miał ciemniejszą stronę, jego apetyt był ogromny. Wręcz nienasycony.

Wzbudził we mnie ogień.

Nie będąc w stanie z tym walczyć, zakochaliśmy się w sobie nawzajem na zabój.

Jak nigdy przedtem.

Ale jego demony są mroczne. Zupełnie jak moje.

Nie jestem pewna, czy nam się uda, ale wiem, że mam dwie możliwości.

Odejść teraz, by ocalić siebie.

Albo spróbować wytrwać i pozwolić miłości być drogowskazem.

Wybieram drugą opcję.





# 1

## April

Rzeka pojazdów gna z ogłuszającą prędkością. Ludzie jak mrówki dopasowują się do tego wiru, sunąc zatłoczonymi chodnikami. Godziny porannego szczytu w Londynie zawsze są gorączkowe. Pędząca w zawrotnym tempie masa najbardziej zapracowanych ze wszystkich pracujących ludzi, wśród nich ja, niczym się nie różniąc, spieszę na swoją zmianę w kawiarni.

Jak zwykle jestem spóźniona, ponieważ uczyłam się prawie do rana. Naprawdę muszę dostać najwyższą ocenę z testu, który zdaję dzisiaj po południu. Wspaniale było otrzymać pełne stypendium na studia prawnicze, ale mieszkanie na drugim końcu świata, z dala od rodziny i przyjaciół już takie nie jest. Jeśli uda mi się osiągnąć wystarczająco wysoką średnią, mam szansę na przeniesienie z powrotem do Stanów, żeby tam kontynuować studia. Wtedy miałabym przy sobie rodzinę, a bycie splekaną studentką nie byłoby przynajmniej tak cholernie samotne.

Podbiegam do zatłoczonego skrzyżowania czterech dróg. Jest pełne samochodów, a chodniki – ludzi czekających na zmianę świateł, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Staję razem z nimi, czekam, i wtedy dostrzegam mężczyznę siedzącego pod sklepem, potarganego i bez butów. W zasadzie klęczy i wystawia przed sobą kubek, prosząc ludzi wokół o drobne. Wyjmuję portfel, ale, cholera, nie mam przy sobie gotówki.

Serce mi się ściska, bo wszyscy udają, że go nie widzą, jakby nie istniał albo się nie liczył – taka plama na społeczeństwie. Jak mogliśmy stać się tak obojętni wobec bezdomnych i biednych?

Ludzie od razu zakładają, że to ćpun. Właśnie tak usprawiedliwiają ignorowanie go. Sądzą, że jeśli zareagują, będą tylko podtrzymywać jego uzależnienie. Myślą, że trzeba być okrutnym, żeby komuś pomóc. Naprawdę tego nie pojmują. Wzdycham na myśl o rzeczywistości, która mnie przygnębia: wypełnionej markowymi rzeczami i rządami mediów społecznościowych. Wszystkim, do czego ten biedny człowiek tak bardzo nie pasuje.

Kątem oka zauważam zatrzymującego się przed nim mężczyznę. Jest wysoki, ubrany w drogi garnitur, ma czarne włosy i przystojną twarz. Sprawia wrażenie bogatej i ważnej osoby. Stoi i patrzy z góry na żebrzącego. O nie, co on zamierza zrobić? Kopnie go za to, że biedak zbiera pieniądze na ulicy? Zadzzwoni na policję? Albo gorzej...

Mężczyzna przykłęka na kolano przed bezdomnym, a ja czuję, że ściska mi się serce. Światło się zmienia, ale za bardzo martwi mnie ta sytuacja, żeby przejść przez ulicę. Muszę zobaczyć, co robi ten facet. Lepiej, żeby go nie szarpał, bo mogę stracić nad sobą panowanie.

*Jest nieszkodliwy. Zostaw go w spokoju.*

W głowie już pojawia mi się wizja, w której kopię tego przystojniaka w jaja, broniąc żebraka.

*Głupi, bogaty palant.*

Mężczyzna w garniturze coś mówi – na co bezdomny kiwa głową – a następnie sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjmując portfel, z niego banknot pięćdziesięciofuntowy i podaje go żebrzącemu.

*Co?*

Zadaje bezdomnemu jeszcze jakieś pytanie, a ten uśmiecha się tak, jakby sam Bóg właśnie zesłał mu cudowny dar. Następnie żebrak wyciąga dłonie, by uścisnąć rękę przystojniaka, który bez wahania odpowiada tym samym. Bogaty facet prostuje się z uprzejmym skinieniem, kompletnie nieświadomy ludzi wokół, żegna się, odwraca i przechodzi przez ulicę. Patrzę, jak odcho-

dzi, i uśmiecham się do siebie, czując, że moja wiara w ludzkość została przywrócona.

Wow, to było niespodziewane. Ruszam dalej sprężystym krokiem, sama również w końcu przechodząc przez ulicę. Kontynuuję swoją drogę do pracy, mijam dwie przecznice. Nagle zauważam przed sobą tego samego mężczyznę w garniturze. Wyciągam szyję, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i dostrzegam, że właśnie dezynfekuje dłonie środkiem z małej buteleczki, którą wyjął z kieszeni. Serce mi rośnie. Czekał, aż znajdzie się poza zasięgiem wzroku bezdomnego, zanim oczyścił dłonie.

*Musi być troskliwy.*

Zatrzymuję się i przyglądam mu. Jest naprawdę przystojny, prawdopodobnie lekko po trzydziestce. Zastanawiam się, kim jest jego żona. Cholerna szczęściara. Założę się, że ich dzieci są z pewnością dobrze wychowane.

Mężczyzna znika za rogiem, a ja odwracam się i wchodzę do kawiarni, w której pracuję – dzwoneczek nad drzwiami obwieszcza moje przybycie. Monica podnosi wzrok znad kasy.

– Hej.

– Cześć. – Uśmiecham się i mijam ją, żeby zostawić torebkę w szafce na zapleczu.

Kawiarnia jest pełna, wszystkie miejsca są zajęte. Niech to, miałam nadzieję na spokojny poranek. Muszę oszczędzać energię na popołudniowy egzamin.

– Hej, laska – mówi Lance, niosąc pudło kubków z zaplecza.

– Myślałam, że pracujesz wieczorem. – Marszczę brwi.

– Wezwali mnie – wdycha. – Cholernie nie mam dzisiaj ochoty na ten pieprzony grajdoł.

– Witaj w klubie.

Nakładam biało-czarny fartuszek i zawiązuję go na plecach, zanim stoję na swoim miejscu przy kasie.

– Zajmę się tym. – Szturcham Monikę biodrem, a ona zatacza się w bok.

- Cieszę się – mamrocze. – Umieram na bourbonozę.  
– Bourbon jest zły. To cholera cię zabije – szepczę.  
Podchodzi kolejna osoba z kolejki.  
– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?  
– Macie kozie mleko? – pyta modnie ubrana kobieta.  
– Mmm. – Odwracam się, żeby zapytać Monicę, ale dziewczyna już zniknęła. Nigdy wcześniej nie słyszałam o kozim mleku.  
– Poproszę szafranowe latte z kozim mlekiem – mówi klientka.  
– Pozwoli pani, że sprawdzę. – Szybko wychodzę na zaplecze, żeby się skonsultować. Lance właśnie otwiera pudła. – Sprzedajemy szafranowe latte z kozim mlekiem?  
Chłopak się krzywi.  
– A kto, u diabła, chciałby pić takie gówno?  
– Tamta wariatka.  
– Ja pierdolę – mamrocze. – Ludzie za bardzo starają się być trendy. Szafranowe z kozim mlekiem. Teraz słyszałem już wszystko.  
– Czyli nie?  
– Za cholerę. – Rozrywa pudło. – To strefa wolna od koziego mleka.  
Chichoczę. Monica mija nas i rusza w głąb korytarza.  
– Idę do łazienki. Niedobrze mi.  
– Wszystko w porządku? – wołam, patrząc, jak biegnie do drzwi.  
– Co się z nią dzieje? – pyta Lance.  
– Kac. Bourbon.  
Lance krzywi się ponownie.  
– Paskudnie.  
– Zmień mnie przy ekspresie, dobra? – woła Monica, zanim zatrząskuje za sobą drzwi.  
Wracam na salę i widzę, że już czeka na mnie ogromna kolejka. Świetnie.  
– Niestety, nie mamy szafranowego z kozim mlekiem.

- Dlaczego nie? – pyta klientka.
- Nie mamy tego w ofercie. Przykro mi. – Uśmiecham się sztucznie. – To kawiarnia wolna od koziego mleka.
- To nie jest odpowiedź. Chcę rozmawiać z menedżerem.
- Oj, odpieprz się, suko. Nie mam dzisiaj nastroju na takie jak ty. Menedżera nie ma teraz nawet na miejscu.*
- Natychmiast! – żąda.
- Posyłam jej kolejny sztuczny uśmiech.
- Pójdę po niego. – Maszeruję na zaplecze do Lance’a. – Chcę się widzieć z menedżerem.
- Kto?
- Laska od kozy.
- Po co?
- Nie wiem. Pieprzone kozy! Podejdź tam, proszę.
- Wracam do kasy.
- Kierownik za chwilę podejdzie. – Uśmiecham się. – Mogłaby pani przejść na bok, żebym obsłużyła następnego klienta?
- Piorunuje mnie wzrokiem i zakłada ręce na piersi, ale usuwa się na bok i czeka.
- W czym mogę pomóc? – pytam następnego mężczyznę.
- Cześć. – Klient uśmiecha się szeroko. O Boże... *nie ty.* – To ja, Michael.
- Tak. – Krzywię się. – Pamiętam. Cześć, Michael. Co ci podać?
- Poproszę to, co zwykle. – Puszczam oczko.
- Przyjmuję jego zamówienie i słyszę dzwonek nad drzwiami, sygnalizujący wejście następnego klienta.
- To będzie cztery dziewięćdziesiąt pięć – mówię chłodno.
- Biorę kartę Michaela i przesuwam ją przez czytnik. Staram się nie podtrzymywać z nim rozmowy, bo za bardzo flirtuje.
- Chcę kozie mleko. – Słyszę z boku żądanie kobiety.
- Cóż, nie mamy go – odpowiada Lance. Po tonie jego głosu poznaję, że również nie jest dzisiaj w nastroju na te bzdury.
- Macie natychmiast dodać je do oferty.

Zerkam na Lance'a. Jego twarz wyraża żądzę mordu, przygryzam wargę, żeby ukryć uśmiech.

– Proszę posłuchać, jeśli chce pani koziego mleka, będzie pani musiała pójść gdzie indziej. Nam nie podoba się pomysł dojenia kóz.

– Wolicie doić krowy?

– Albo wykopać je z mojej kawiarni – mamrocze Lance pod nosem. – Jedno z dwóch.

Jezu... Spuszczam głowę, żeby ukryć uśmiech.

– Czy pan właśnie nazwał mnie krową? – sapie kobieta.

*Cholera, odpieprz się, suko. Dość tego dramatu. Po prostu wyjdź.*

– W czym mogę pomóc? – pytam następnego klienta i podnoszę wzrok.

Na widok wpatrujących się we mnie dużych, brązowych oczu aż odsuwam się zaskoczona. To on. Facet z ulicy.

– Cześć. – Uśmiecham się nieśmiało i wtykam pasmo włosów za ucho.

Ma na sobie idealnie skrojony ciemnogrnatowy garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Wygląda jak prawdziwy europejski dżentelmen.

– Witam. – Jego głos jest głęboki i ochryply.

Czuję, że na policzki występuje mi rumieniec, i uśmiecham się nerwowo.

– Cześć.

Wpatrujemy się w siebie. Ja pieprzę. Ten facet jest kompletnie cudny. Na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu, jakby czytał mi w myślach. Szczerzę się do niego głupkowato i prostuję ramiona. Unosi brwi i pyta:

– Chcesz przyjąć moje zamówienie?

– Och. – Wracam do rzeczywistości. – Czekałam, aż pan zacznie – kłamię. Kurwa, zachowuję się jak porąbana nastolatka. *Weź się w garść, głupia.* – Co podać?

– Poproszę podwójne macchiato.

Wykrzywiam usta, żeby ukryć uśmiech. Nawet jego kawa jest gorąca.

– Mogę zaproponować coś jeszcze? – pytam.

Unosi brew.

– Na przykład?

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wychodzi z nich żadne słowo. Uśmiecha się pod nosem, zauważając, że jestem kompletnie skołowana.

*Och, do diabła, wyluzuj się kretynko, dobra?*

– Muffinkę? – wykrztuszam w końcu. – Są przepyszne.

– W porządku. – Patrzy mi w oczy. – Zaskocz mnie, April.

Wpatruję się w niego, a mój mózg się zacina.

– Skąd zna pan moje imię?

– Jest na fartuszku.

Zaciskam powieki.

– Och... racja. – *Proszę, Matko Ziemio, pochłoń mnie w całości. Jak można to spięprzyć jeszcze bardziej?* – Proszę mi wybaczyć. Nie jestem dzisiaj sobą – jąkam się.

– Jak dla mnie wyglądasz zupełnie w porządku. – Posyła mi pierwszy szczery uśmiech i odczuwam go aż w palcach u stóp.

To przesądzone: facet jest niezłym kaskiem.

– A nazywasz się? – pytam, unosząc długopis do jego kubka.

– Sebastian.

– Pan Sebastian?

– Pan Garcia.

Sebastian Garcia. Jego nazwisko także jest seksowne.

– Może jeszcze jedną kawę dla żony?

– Nie mam żony.

– Dla dziewczyny?

– Nie mam dziewczyny. – Na jego twarzy ponownie pojawia się uśmiech. Wie, że wyciągam od niego informacje.

Patrzemy sobie w oczy, a powietrze między nami wibruje. Mężczyzna stojący za nim w kolejce wzdycha ciężko.

– Spieszę się.

*Och, spadaj. Usiłuję tu flirtować, palancie.*

Pan Garcia odsuwa się na bok, a ja przenoszę uwagę na mężczyznę za nim.

– W czym mogę pomóc?

– Chcę grillowaną kanapkę z szynką i serem. I lepiej się pośpiesz – warczy.

– Oczywiście, proszę pana. – Kurwa, dlaczego każdy dupek w Londynie przyszedł akurat dzisiaj do mojej kawiarni?

– Przepraszam. – Słyszę z boku.

Oboje z mężczyzną podnosimy wzrok i zauważamy, że pan Garcia zbliżył się do nas.

– Czego? – rzuca dupek.

– Coś ty właśnie powiedział? – Sebastian unosi brew wyraźnie zirytowany.

Mężczyzna marszczy czoło zaskoczony.

– Spieszę się.

– To nie powód, żeby być nieuprzejmym. – Pan Garcia nie spuszcza z niego wzroku. – Przepróż.

Mężczyzna przewraca oczami.

– Teraz.

– Przepraszam – mamrocze klient w moją stronę.

*Wypchaj się.*

Zaciskam wargi, żeby ukryć uśmiech. Pan Garcia wraca na swoje poprzednie miejsce pod ścianą, a ja czuję, że policzki rumienią mi się z ekscytacji.

– To zajmie minutkę – mówię, a facet kiwa głową, nie odzywając się już ani słowem.

Rozglądam się i zastanawiam, kto zaparzy kawę. O cholera, to ja powinnam.

*Matko, jak się robi podwójne macchiato?*

Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Jedynie milion razy patrzyłam, jak przygotowywali je inni. Skupiam się i wykonuję czyn-



ności, które podpatrzyłam. Gotowe! Odwracam się z powrotem do klientów.

– Pan Garcia – wołam, a on występuje do przodu. – Proszę. Patrzy mi w oczy i przyjmuje ode mnie kubek.

– Dziękuję. – Kiwa głową i odwraca się, a ja patrzę, jak idzie w stronę drzwi. Cholera... to wszystko?

*Odwróć się i zaproś mnie na randkę, do diabła.*

Zatrzymuje się jak na zawołanie, a ja wstrzymuję oddech, kiedy się odwraca.

– Do zobaczenia jutro, April.

Uśmiecham się.

– Mam taką nadzieję.

Pochyla głowę, posyłając jeszcze jeden zapierający dech w piersi uśmiech, po czym odwraca się i wychodzi na ulicę. Chwytam ścierkę i jak małe dziecko podbiegam na przód kawiarni, żeby zobaczyć, w którą stronę poszedł. Udaję, że wycieram stolik przy oknie, żeby móc szpiegować. Sebastian mija kilka sklepów, widzę, jak bierze łyk kawy i wzdryga się. Wykrzywia twarz, kręci głową i wyrzuca kubek do śmietnika. Co? Po tym wszystkim nawet jej nie wypił? Opada mi szczęka.

– Zostanę w końcu obsłużony? – Chamski facet ciska się przy ladzie.

– Tak, oczywiście, proszę pana. – Znowu uśmiecham się sztucznie i zabieram się do przygotowywania kanapki.

Dostaniesz do niej najgorszą pieprzoną kawę, jaką kiedykolwiek zrobiłam, dupku. A patrząc na reakcję pana Garcii, będzie naprawdę źle.

\* \* \*

Idę korytarzem Holmes Court, mojego akademika przy uniwersytecie. Cholera, wydaje mi się, że zawałam egzamin. Dźwięk

śmiechu niesie się po korytarzu, a w oddali słyhać słaby bit techno. Powrót do tego przybytku jest jak piekło na ziemi.

Nigdy nie mieszkałam w miejscu, którego nienawidziłabym tak bardzo jak tego. Sam akademik jest ładny, ale czuję się tu jak babcia. W wieku dwudziestu pięciu lat jestem uważana za starszą studentkę, jednak z jakiejś niezrozumiałej przyczyny moje stypendium sprawiło, że wylądowałam na pierwszym roku, gdzie wszyscy mają po osiemnaście lat i po raz pierwszy wyrwali się z domu. Moi koledzy z roku są albo zalani w trupa, albo uprawiają seks. Mnie nie obchodzi, co robią, ale czy muszą tak cholernie przy tym hałasować?

To miejsce przypomina klub nocny czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Studenci imprezują całą noc i śpią całą dzień. Nie mam pojęcia, jak udaje im się zaliczyć jakikolwiek przedmiot.

Wzdycham ciężko i wspinam się po schodach. Muzyka staje się coraz głośniejsza. No oczywiście. Penelope Wittcom – moja sąsiadka i arcywróg. Nasze pokoje dzieli wspólna ściana. Ja po swojej stronie staram się uczyć, spać i być porządną studentką. W jej części znajduje się centrum imprez i orgii. Na całym kampusie jej sypialnia znana jest jako „jaskinia uciech”. Otwarta całą pięprzoną noc. Ma tam nawet kulę dyskotekową. Ludzie przychodzą i wychodzą o każdej porze, trzaskają drzwiami, rechoczą i wyją. Podejrzewam nawet, że Penelope handluje narkotykami. Nie ma innej możliwości. Nikt nie może być tak popularny i mieć tylu gości. To irytujące, bo jest przy tym cholernie inteligentna i zostanie komputerowcem.

A to wcale nie jest jeszcze najgorsze. Nigdy w życiu nie słyzałam tylu krzyków podczas seksu! Straciłam już rachubę, ilu mężczyzn przewinęło się przez jej łóżko. To znaczy, brawo dla niej – przynajmniej jedna z nas używa życia – ale naprawdę musi wyć za każdym razem, kiedy dochodzi?

Składałam skargi. Prosiłam o przeniesienie do innego budynku. Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. Ale ciężko zostać wysłuchanym, skoro Penelope sypia też z kierownikiem piętra. A poza tym, ja jestem na stypendium. Nie płacę, żeby tutaj mieszkać, więc muszę to znosić. Zaciskam zęby byle tylko przetrwać do końca tego roku i mam nadzieję, że moje oceny będą na tyle dobre, iż dostanę stypendium umożliwiające mi powrót do Stanów.

Kiedy zostawiłam mojego zdradzieckiego i skretyniałego byłego męża Roya, zostałam z niczym. Wszystkie pieniądze, które zarobiłam, włożyliśmy w dom, w którym on wciąż mieszka, a dopóki nie zgodzi się go sprzedać, muszę żyć z ochłapów.

Jestem na drugim roku prawa, z czego jestem bardzo dumna, ale muszę się z czegoś utrzymywać podczas studiów. Składałam podanie do każdej możliwej pracy pod słońcem, ale nauka jest tak intensywna, że mało co pasowało do mojego grafiku. Jestem wdzięczna za fuchę w kawiarni, ale przy tylko trzech dniach w tygodniu nie stać mnie na wynajęcie własnego mieszkania. Więc na razie tak wygląda moje życie.

Muzyka dudni, kiedy przechodzę obok pokoju Penelope. Drzwi są otwarte. Czterech albo pięciu facetów siedzi na podłodze, a do korytarza dochodzi zapach dymu papierosowego. Mijam ich bez cienia uśmiechu i zamykam za sobą drzwi. Muzyka cichnie tylko odrobinę, więc zakładam słuchawki. Kto by pomyślał, że będę potrzebowała słuchawek wygłuszających, żeby przetrwać dzień?

Włączam telewizor, połączony ze słuchawkami przez Bluetooth. Wyjmuję wodę mineralną z lodówki, opadam na kanapę i zaczynam przeglądać telefon. Otwieram e-mail.

*Od: Klub Exotic*

*Do: April Bennet*

*Temat: Podanie*

*Gratulacje, April.*

*Zakwalifikowałaś się na rozmowę o pracę w Klubie Exotic.*

*Oczekujemy cię 22. w przyszłym miesiącu. Spotkanie odbędzie się przy High Street 290, London East o godzinie 11.00.*

*Płacimy sporo powyżej minimalnej krajowej, mamy znakomity plan rozwoju zawodowego i do naszej cudownej załogi zamierzamy zatrudnić dziesięć osób.*

*Potwierdź, proszę, swoją obecność w ciągu siedmiu dni od otrzymania tego zaproszenia.*

*Klub Exotic*

Natychmiast siadam prosto. Składałam do nich podanie kilka miesięcy temu. Dziewczyna, która pracowała kiedyś w kawiarni, dorabiała również za barem w Klubie Exotic przez jedną noc w tygodniu i to wystarczało jej na opłacenie całego czynszu. Podekscytowana zeskakuje z kanapy, choć wiem, że to jeszcze nic pewnego. To co prawda klub dla dżentelmenów, ale praca dotyczy tylko stania za barem. A przecież nalewanie drinków nie może być trudne, prawda? Poza tym i tak musiałam wysłuchiwać Penelope uprawiającej seks każdej nocy za darmo. Jestem całkiem pewna, że moje biedne oczy i uszy zniosą teraz już wszystko.

Jeśli wcześniej nie znajdę innej opcji, to Klub Exotic mógłby okazać się dobrym rozwiązaniem. Ponownie czytam e-mail. Kurczę, to jeszcze pięć tygodni. A to, cholera, bardzo dużo czasu.

Mój telefon zaczyna wibrować.

– Halo? – odbieram.

– Halo, April?

– Tak. – Nie rozpoznaję głosu.

– Tu Anika z Klubu Exotic.

– Och – marszczę brwi. – Przed chwilą odczytałam e-mail od was.

– Tak, dlatego dzwonię. Właśnie ktoś odszedł bez uprzedzenia, a ty byłaś pierwszą osobą z naszej listy, która odebrała.

– Tak?

– Chciałabys przyjąć jutro na rozmowę? Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili, jeśli nie możesz, wstępna data rozmowy pozostanie bez zmian.

Szybko przeglądam w myślach grafik na jutro. Chyba mogłabym urwać się z wykładu.

– Tak, jasne. Pasuje mi. O której?

– Możesz przyjść na jedenastą?

Zmianę w kawiarni kończę o dziesiątej trzydzieści. Zdążę, jeśli na rozmowę przygotuję się przed pracą.

– Dobrze, brzmi wspaniale, dziękuję. – Uśmiecham się podkscytowana. – W takim razie do zobaczenia.

\* \* \*

– W czym mogę pomóc?

– Poproszę grillowany ser na żytnim pieczywie i kawę z mlekiem.

– Jasne. – Uśmiecham się, wprowadzając zamówienie do komputera. To kolejny dzień w kawiarni i kolejne kilka funtów do mojego budżetu. – Razem dziewięć dziewięćdziesiąt pięć.

Klient podaje mi pieniądze, a ja słyszę dzwonek nad drzwiami, gdy kolejna osoba wchodzi do środka. To najbardziej ciągnąca się zmiana, jaką miałam w kawiarni. Denerwuję się dzisiejszą rozmową. Po całonocnych rozmyślaniach stwierdziłam, że naprawdę chcę dostać tę pracę. Gdybym dała radę pracować dwa

razy w tygodniu, to mogłabym wyprowadzić się z akademika do własnej kawalerki.

*Wyobraźcie to sobie!*

*Nie ekscytuj się. Jeszcze nie dostałaś tej pracy, mityguję sama siebie.*

– W czym mogę pomóc? – pytam. Podnoszę wzrok i patrzę prosto w oczy pana Garcii.

Wrócił.

– Cześć – mówi głębokim głosem.

Powietrze między nami znowu to zrobiło... elektryczność i motylki w jednym.

– Wróciłeś po więcej mojej wysmienitej kawy? – Uśmiecham się pod nosem.

Posyła mi leniwy, seksowny uśmiech.

– Owszem.